

Spóźnieni euroentuzjaści

27 kwietnia 2025

Polityka międzynarodowa Donalda Trumpa to klasyczny imperializm bez znieczulenia. Rysowanie mapy stref wpływów, czystki etniczne jako sposób rozwiązywania problemów, otwarty aneksjonizm, dostęp do zasobów w zamian za gwarancje bezpieczeństwa dla formalnie suwerennych państw (czyli de facto sprowadzanie ich do pozycji niesuwerennych republik bananowych) przerażają dziś europejskie klasy polityczne.

Bez wątpienia przerażenie to ma mocne podstawy. Wszelako równie niewątpliwe jest to, że stanowi ono rodzaj hysterii ludzi, głęboko i wbrew wszelkim świadectwom wierzących, że na starym kontynencie nastąpił koniec historii, choć przecież – także dzięki polityce państw UE jak i jej samej – historia, i to w najgorszych swoich przejawach, nigdy nie przestała być doświadczeniem przygniatającej większości świata. Klasyczny imperializm bez znieczulenia to codzienność, z którą mierzą się ludzie na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w Afryce Subsaharyjskiej, a po części także w Ameryce Łacińskiej. Europa ciągnąca z tej sytuacji całkiem konkretne zyski budzi się dziś z krzykiem. I całkiem zresztą słusznie, bo to właśnie Unia Europejska jest tą wśród globalnych potęg, która może na polityce Trumpa stracić najwięcej. Inna sprawa, że sama się do tego przyłożyła. Swoim bezmyślnym atlantyzmem. A tutaj wielkie zasługi ma Polska. Jeśli bowiem dziś Trump może cokolwiek w Europie sprzedawać swoim imperialnym partnerom z Moskwy, to jest w tym także wkład naszej klasy politycznej i tego jak widziała ona swoje miejsce w świecie w ciągu ostatnich trzech dekad.

Kluczowy w tym względzie był wybór dokonany przy okazji agresji Waszyngtonu pod rządami korporacyjnej ekipy młodszego George'a W. Busha na Irak w roku 2003. Ofiarą tej wojny padło nie tylko irackie społeczeństwo (co najmniej pół miliona ofiar, czyli więcej niż w Ukrainie i Gazie razem wziętych)

oraz podeptane przez USA i jego pomagierów prawo międzynarodowe. Celem neokonserwatystów Busha były nie tylko irackie pola naftowe i narzucenie nowego układu geopolitycznego na Bliskim Wschodzie. Przy okazji chodziło także o sparaliżowanie projektu europejskiego. I to się Amerykanom udało znakomicie. Czyimi rękami? Tak zwanej „młodej Europy”, czyli grupy państw naszego regionu, które zgłosiły akces do wspierającej Amerykanów koalicji chętnych, przebierając nóżkami, by jak najszybciej wziąć udział w przestępczej agresji na niczym niezagrażający im kraj. Grupę tę polskie media dumnie wówczas przeciwstawiały rzekomo stetryczącej starej Europie, czyli głównie Francji i Niemcom, które miały odwagę przeciwstawić się amerykańskiej wojnie. Sęk w tym, że „młodość” i „starość” rozkładały się w Europie dokładnie odwrotnie. To Polska i reszta rzekomo „młodej Europy” trzymała się przestarzałych map i skompromitowanych pomysłów nie dostrzegając, że nieokiełznany militarizm neokonów stanowi symptom zmięczenia amerykańskiej potęgi. To Paryż i Berlin dobrze identyfikowały wyzwania przyszłości, starając się im sprostać, nawet jeśli ich politycy artykułowali go za pomocą aroganckiej retoryki, co wykorzystano przeciw nim.

Na stole były wówczas projekty większej integracji Unii, wzmocnienia jej legitymizacji demokratycznej, budowy europejskich sił zbrojnych, uniezależnienia od zdominowanego przez Amerykanów NATO, własnej polityki międzynarodowej i – last but not least – federalizacji. Pomysły te były na tyle poważne i bliskie realizacji, że Amerykanie uznali je za zagrożenie dla swojej hegemonii w Europie i postanowili je utracić. Zrobili to bardzo skutecznie, także rękami naszych polityków przekonanych, że inwestują w bezpieczną przyszłość, a w istocie przykładających rękę do rozkręcenia nowej fali imperializmu i jednoczesnego osłabienia Unii Europejskiej, do której właśnie wchodziliśmy.

Irak podzielił Europę, a pomysły europejskiej armii czy

suwerennej polityki zagranicznej poszły do śmietnika. Unia została trwale ograniczona do wspólnego (i bardzo neoliberalnego) rynku z ułomną walutą i chronicznym deficytem demokracji. A przecież ówczesne koncepcje były wypisz wymaluj tym, co dziś pojawia się jako konieczna odpowiedź na zwrot Trumpa. Tyle że dziś jest to odpowiedź o ćwierć wieku spóźniona. Pewnych zaniechań i zaległości nie odrabia się z dnia na dzień. Nie wystarczy tu sama wola polityczna, skoro warunki strukturalne jej nie sprzyjają – tym bardziej że nie widać woli, by te warunki zmienić. Po dekadach utrwalania neoliberalnego modelu integracji ekonomicznej, po kryzysie i brexicie, po wydaniu demokracji na łup rojów lobbystów wielkiego biznesu Unia jest politycznie słabsza niż była, gdy Polska do niej wchodziła, ciesząc się z przyjętej roli amerykańskiego konia trojańskiego. I naprawdę nie ma tu wyłącznej winy Trumpa czy Putina, ale także tych polityków i komentatorów, którzy robią dziś z siebie zdradzonych o świcie.

Autorstwo: Przemysław Wielgosz

Źródło: Monde-Diplomatique.pl